

— Nie wiem... nie zastanowiłem się... muszę się zastanowić...

— Niech pan poszuka w otoczeniu pana Kesselbacha — rzekł Lenormand. — Czy nikt nie był wtedy wmieszany w wasze narady? Czy on sam nie mógł się zwierzyć nikomu?

Oboje, Dolores i pan Lenormand, pochyleni nad nim, niespokojnie czekali na jego odpowiedź.

— Nie — rzekł — ja nie widzę...

— Imię i nazwisko mordercy — ciągnął dalej p. Lenormand — zaczynają się od L. i od M.

— L. — powtórzył — nie rozumiem — L. i M.?

— Tak, złote litery L. M. umieszczone są na papierosnicy, która należała do mordercy.

— Papierosnica? — powtórzył Steinweg z wysiłkiem pamięci.

— Z brązowej stali... jedna połowa przedzielona jest na dwie części, z tych mniejsza na bibułki, większa na tytoń...

— Na dwie części... na dwie części... — powtarzał Steinweg, którego wspomnienia ten szczegół budzić się zdawał. — Czy nie mógłby mi pan tego przedmiotu pokazać?

— Oto on, a właściwie jego odbitka — rzekł Lenormand, podając mu papierosnicę.

— Co? Co?! — rzekł Steinweg, biorąc ją do ręki.

Oglądał ją osłupiałym wzrokiem, badał, odwracał i nagle krzyknął; był to okrzyk człowieka, którego okropna myśl uderzyła. I umilkł, sino-błady, z rozszerzonymi oczami; ręce mu się trzęsły.

— Mówże pan, mów pan! — żądał p. Lenormand.

— Niech pan mówi, błagam pana — nalegała pani Kesselbach, chwytając się go z rozpaczą.

— O! — rzekł, jak olśniony światłością — wszystko się tłómaczy!

— Mów pan... mów pan nareszcie!...

Odepchnął ich oboje, podszedł chwytając się do okna, a potem wrócił i rzuciwszy się ku panu Lenormand, wykrztusił:

— Panie, panie... ja panu powiem, kto jest mordercą Rudolfa... Otóż to...

## Rozdział II.

### Pan Lenormand zwyciężony.

#### I.

Przerwał.

— Więc któż to jest? — pytali tamci.

Z minutę trwało milczenie. — W wielkiej ciszy tych murów, które tyle wyznań, tyle oskarżeń słyszały, czy rozlegnie się imię wstrętnego zbrodniarza?

— Nie — szepnął Steinweg — nie, ja nie mogę...

— Co pan mówisz? — krzyknął szef bezpieczeństwa wściekły.

— Ja tego powiedzieć nie mogę.

— Ależ pan nie ma prawa milczeć! Sprawiedliwość żąda, byś pan mówił.

— Jutro... Ja jutro powiem... Ja się muszę zastanowić... Jutro powiem panu to, co wiem o Piotrze Leduc... i wszystkim, co przypuszczam odnośnie do tej papierosnicy. Jutro... przypuszczam panu...

Odgadywało się w nim ten upór, z którym próżno walczyć najenergiczniejszym wysiłkiem. Lenormand ustąpił. Zadzwoił i wchodzącemu Diensy szepnął na ucho:

— Odprowadź go do hotelu i zostań tam; na-deślę ci dwóch kolegów. A pilnuj go dobrze. Łatwo mogliby chcieć go porwać.

Inspektor wyprowadził Steinwega, a Lenormand zwrócił się do pani Kesselbach, wielce wzruszonej tem przejściem i tak znużonej, że już nie śmiał wypytывать jej o szczegóły znajomości męża jej ze starym Steinwegiem.

— Czy mam wrócić jutro? — zapytała, zabierając się do wyjścia.

— To zbyt cenne, pani. Ja pani doniosę o wszystkim, co Steinweg powie. Czy wolno mi panią odprowadzić do powozu?

Otworzył drzwi i puścił ją naprzód. W tej chwili krzyki jakieś dały się słyszeć w korytarzu

i nadbiegać zaczęli ludzie, inspektorzy służbowi, chłopcy biurowi...

— Szefie, szefie! Diensy!...

— Wyszedł w tej chwili!

— Znalaziono go na schodach...

— Zabity?...!

— Nie, omdlały. Ktoś go potłukł...

— A ten człowiek, który z nim był? Stary Steinweg?

— Niema go! Zniknął!

— Do diabła!...

Lenormand błyskawicznie zbiegł po schodach i wśród gromadki trzeźwiących osób znalazł Diensy'ego w sieni pierwszego piętra. Diensy otworzył oczy i zaraz, odzyskując przytomność, wybełkotał:

— Tutaj... tamte małe drzwiczki...

— Ach do kata! drzwi siódmej izby — zawołał szef bezpieczeństwa... Toż mówiłem, żeby je na klucz zamknąć!...

Rzucił się i chwycił klamkę.

— Ot co! Rygiel zasunięty z przeciwnej strony...



To ona — szepnął Hartog.

Drzwiczki były częściowo oszklone. Rękojeścią rewolweru rozbił szybę, odsunął rygiel i rozkazał Gourel'owi:

— Pędź ku wyjściu na plac Dauphine... a ty, Bonivent ku bulwarowi Pałacu!...

— Mów Diensy, co się stało? — zwrócił się do leżącego. Kto ciebie tak urządził?

— Pałnął mnie pięścią, szefie!

— Kto, ten stary? Ależ on się ledwie na nogach trzyma!

— Nie ten stary, szefie, ale inny, który spacerował po korytarzu, podczas gdy Steinweg był u pana i który poszedł za nami. Anim się spodział, gdy mnie pięścią ugodził w żołądek... Padłem, a padając miałem wrażenie, że on otwiera te drzwi i ciągnie za sobą starego...

— Czy mógłbyś go poznać?

— Ależ tak, szefie... Silny chłop, skórę ma czarną... jakiś południowiec napewno...

— Ribeira — zgrzytnął Lenormand. — Zawsze on! Ribeira, alias Parbury... Ach, ten łotr, co z zuchwałości... Bał się starego Steinwega... I przyszedł mi go świsnąć tuż z przed nosa!...

I tupnąwszy ze złością, dorzucił:

— Ale skądżeż on wiedział ten bandyta, że Steinweg tu był! Jeszcze niema czterech godzin,

jak ścigałem go w lesie za Villeneuve... a teraz on tu... Skąd on się dowiedział?... Czyż on żyje w mojej skórce?

Wpadł w takie zamyślenie, jakie go chwilami nachodziło, w czasie którego jakgdyby nie słyszał i nie widział. Nie odpowiedział nawet na ukłon pani Kesselbach, przechodzącej mimo. Obudził go odgłos kroków na korytarzu.

— Szefie, dwóch ich było — wołał Gourel zdyszany. Poszli tedy, a wyszli na plac Dauphine. Hartog ich widział... Przyprowadziłem go. Opowiadaj, Hartog!...

— Szefie, chodziłem tam i napowrót pod drzewami na placu Dauphine i za każdym razem mijalem automobil, który się tam zatrzymał. W automobilu siedział jakiś pan i jakaś kobieta... kobieta bez kapelusza... jak gdyby służąca... ładna, bardzo ładna... To też patrzyłem...

— Mów prędzej!

— Otóż nagle ona wysiadła i otworzyła drzwiczki... I dwaj panowie, którzy prowadząc się pod rękę wyszli z pałacu sprawiedliwości, przeszli ulicę bardzo prędko i wsiedli do automobilu, który ruszył prosto ku Sekwanie i skręcił na lewo.

— Jak ci dwaj wyglądali?

— Jeden bardzo ciemny na twarzy, wysoki, tęg... drugi był mały staruszek.

— A ci, którzy czekali?

— Kobieta była to blondynka, trochę rudawa, ładna, bardzo ładna... twarzy mężczyzny nie widziałem... Miał miękki kapelusz, spuszczone na oczy i jasne włosy... był czarno ubrany.

— To on, morderca — szepnął Lenormand — wspólnik Ribeiry-Parburego.

Głósno zaś dodał:

— I niczego więcej nie zauważyłeś?

— Owszem, byłem niedaleko, gdy tamci wsiadali i usłyszałem, jak ten wielki mówił po niemiecku: „Gertruda, upadła ci rękawiczka... podnieś ją...“

— Gertruda... Gertruda... — powtarzał szef bezpieczeństwa, przypominając coś sobie. I nagle odwrócił się, odrzucił otaczające go osoby i pędem zbiegłszy po schodach, przeskończył dziedziniec i wybiegł na ulicę.

— Stój! — wołał — stój!

Powóz dwukonny właśnie ruszał. Był to powóz pani Kesselbach... Stangret usłyszał i stanął. Lenormand skoczył na stopień.

— Po stokroć panią przepraszam... pomoc pani jest mi niezbędna. Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie? Musimy szybko działać... Gourel, sprowadź mi automobil.

Zaczęła się bieganina. Lenormand kipiał niecierpliwością. Pani Kesselbach, stojąc na trotuarze, chwiała się, wachając trzeźwiące sole. Nareszcie wsiedli.

— Gourel, wsiadaj na rower i goń nas... i Hartog także... prosto do

Garches!

— Do mnie? — zapytała Dolores zdumiona.

— Jednej ze służących pani na imię Gertruda, nieprawdaż?

— Tak.

— Wszystko każe mi przypuszczać, że ta Gertruda jest współniczką mordercy.

— Och! — pani Kesselbach poniosła rękę do serca — och, czyż można... Gertruda!... Mam ją u siebie od lat... To uosobione poświęcenie, prawda... Panie, Gertruda nie byłaby zdolną!... Ja za nią odpowiadam...

— Przekonamy się, pani!

Na rogatce wychylił się.

— Czy nie jechał tedy automobil-lando z czterema osobami... trzech panów i pani bez kapelusza?... z dwadzieścia minut temu?

— Nie, panie.

— Gourel, objeżdż fortyfikacje i pytaj u wszystkich bram.

(Ciąg dalszy nastąpi)